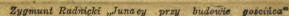
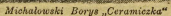
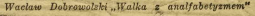

LESZEK GOLINSKI



Michałowski Stanisław „Zwózka buraków”



Czajkowski St.

W ostatnich latach okresu międzywojennego, w latach wybujałego formalizmu i opanowania sztuki polskiej przez silące się na oryginalność nowinkarstwo, twórczość Zygmunta Noskowskiego poszła w zapomnienie. Niesłusznie też pomijano ją w programach koncertowych pierwszych lat powojennych. Z dużego dorobku Noskowskiego w repertuarze nowych orkiestr symfonicznych pozostał jedynie poemat „Step” — cza sem ukazywało się na afiszach „Morskie oko” oraz kilka utworów chóralnych i pieśni solowych z melodyjnym krakowiakiem „Skowroneczek śpiewa” na czele.

Twórczość Noskowskiego została zaściana przez indywidualność jego nauczyciela i mistrza Moniuszki oraz uczni, z których Karłowicz, Szymanowski, Różycki i Fitelberg zdobyli sobie pozycję między narodową. Tymczasem muzyka Noskowskiego, oparta na bogatych źródłach pieśni ludowej, melodyjna i pełna wyrazu, przemawiająca językiem prostym i przystępnym, jakkolwiek nie dorównuje twórczości naszych największych kompozytorów, niemniej stanowi cenny wkład do naszej kultury muzycznej i zasługuje na wiele częstsze prezentowanie jej polskim słuchaczom, niż to ma miejsce dotychczas.

Aby przywrócić twórczości Noskowskiego należne jej miejsce i uczcić 40-tą rocznicę zgonu kompozytora (Noskowski umarł 23 lipca 1909 r. — jednak ze względu na Rok Chopinowski uroczystości przesunęto, podobnie jak Rok Moniuszkowski na rok bieżący) powstał pod protektorem Ministra Kultury i Sztuki Stefana Dybowskiego Komitet, którego zadaniem będzie wydanie monografii o życiu i twórczości kompozytora oraz poświęconej mu wystawy, a przede wszystkim upowszechnienie jego muzyki przez organizację koncertów i wydawnictwa nutowe.

Uroczystości związane z obchodem 40-tych rocznicy śmierci Noskowskiego zainaugurował koncert, który się odbył 21 kwietnia br. w sali Państwowej Filharmonii w Warszawie. Wykonano na nim „Poloneza elegijnego” kantaty „Świętowania” i III symfonię F-dur. Zanim we Wrocławiu rozpoczyna się koncert popularyzujący twórczość naszego kompozytora należy przypomnieć czytelnikom jego sylwetkę.

Zygmunt Noskowski urodził się 2 maja 1846 w Warszawie. Studia muzyczne rozpoczął w Instytucie Muzycznym pod okiem Stanisława Moniuszki. Indywidualność „ojca opery polskiej” wywarła decydujący wpływ na całą twórczość Noskowskiego. Mimo, że później kształcił się w Berlinie u Fryderyka Kieła i przebywał w latach w Konstancji nad jeziorem Bodeńskim, gdzie zajmował stanowisko kapelmistrza miejskiej orkiestry i chóru, twórczość Noskowskiego przepełniona jest, podobnie jak twórczość Moniuszki głębokim umiłowaniem polskiego folkloru i związana z tradycją i kulturą muzyczną polskiego ludu.

Już w pierwszych latach po bytu Noskowskiego za granicą zdobywają sobie uznanie jego miniaturowe fortepianowe, a zwłaszcza krakowiaki na 4 ręce. Grał je także Franciszek Liszt w czasie pobytu Noskowskiego w Baden-Baden w r. 1880.

Noskowski napisał również piękne kantaty na głosy solowe, chór i orkiestrę, duży zbiór pieśni chóralnych, kilka utworów kameralnych, efektowną pantomimę baletową „Święto ognia” oraz 3 opery „Livia Quintilla”, „Wyrok” i „Zemsta” (do komedii A. Fre dry). Opery te jednak nie zdobyły sobie trwałego miejsca w repertuarze teatrów muzycznych.

Najważniejszą jest jednak twórczość symfoniczna Noskowskiego, która w epoce przed ukazaniem się utworów Karłowicza, nie miała sobie równych w polskiej literaturze symfonicznej. Najwybitniejsze z nich to trzy symfonie, cykl wariacji symfonicznych „Z życia” (na temat preludium Adura Chopina) uwerutowa koncert „Morskie oko” i poemat symfoniczny „Step” odznaczający się barwnością instrumentalną i pełnym wyrazu nastrojem.

Nie mniejsze zasługi położył Noskowski na polu organizacji polskiego życia muzycznego, które w czasach niewoli było najgorętszym przejawem uczuć patriotycznych.

Po powrocie z zagranicy został w r. 1881 powołany na stanowisko dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, gdzie przez przeszło 20 lat wykazał nieustraszoną działalność prowadząc i organizując chóry, dyrygując orkiestrą symfoniczną, wykładając teorię muzyki, urządzając koncerty, odczyty, pisać doskonałe podręczniki do nauki teorii muzyki i świetne recenzje popularyzujące wiedzę o muzyce.

Jako czołowy profesor Konserwatorium Warszawskiego wykształcił Noskowski całe pokolenie polskich kompozytorów. Prawie wszyscy kompozytorzy nasi w przełomie 19 i 20 wieku z przedstawicielami grupy „Młodej Polski” na czele, zdobyli gruntowną znajomość rzemiosła od Noskowskiego, który posiadał niepospolite zdolności pedagogiczne.

Słuchając więc dzieł Szymanowskiego, Karłowicza, Różyckiego, Ryty, Fitelberga nie zapominajmy, że talent ich rozwijał się pod czujną opieką twórcy „Stepu”.

WYPOWIEDZ UPITA I WNIOŚKI

W trakcie przeglądania materiałów z dyskusji musiałem nawet tłumaczyć z łotewskiego, bo w tym właśnie języku wypowiadał się jeden z uczestników dyskusji pisarz radzieckiej Łotwy, Andrzej Upi.

Tłumaczyliśmy nie na próżno, bo jego wypowiedź zawiera określenie najtrafniej badające ujmującą istotę zagadnienia. Przytaczam je:

„Realizm socjalistyczny wyraża nieustanną dążność ludzi socjalizmu ku przyszłości. Lecz nawet wyprzedzając życie swą wizją przyszłości realizm socjalistyczny pozostaje niezmiennie realistycznym. Jeżeli my, nie rozporządzając do kładniejszym słownym ujęciem, oznaczmy tę wizję słowem romantyzm, to nie należy pomijać tego, że ten romantyzm w naszej sztuce radzieckiej kompletnie utracił swoją odrębną, specyficzną treść i jako część organiczną wrosł w realizm”.

Występując w lutym br. na XIII plenum Zarządu Związ-

ku Pisarzy Radzieckich Aleksander Fadiejew uznał swoje sformułowanie za nieudane.

A więc realizm socjalistyczny ma być gatunkowo różny od innych, odmienną metodą pisarską. Nie powtarza każdego z osobna ani realizmu krytycznego ubiegłego stulecia ani romantyzmu rewolucyjnego, nie tworzy bez żadnej mieszanki z nich.

Ujmując sprawę z innej strony zestawmy ze sobą realizm dawny i nowy — socjalistyczny. Co je zasadniczo różni? Pisarze przeszłości byli negatywnie nastawieni wobec ustroju, w którym tworzyli, więc nie mogli swą twórczością utwierdzać go, afirmować. Skutkiem czego, realizm ich siłą rzeczy musiał być przeważnie krytyczny. Inaczej rzecz ma się z literaturą radziecką, całkowi cie przyjmującą i wypierającą ustroj, w którym wyrosła i okrzepła. Zatem jej metodą realizm socjalistyczny, w swoim założeniu jest realizmem afirmującym, nie zaś jakimś realizmem romantycznym. Bo ta afirmacja tkwi w nim organicznie i nie potrzebuje być wprowadzoną z zewnątrz w po-

staci wyodrębnionego romantyzmu.

Widzimy, że zamknęliśmy koło i że rozumowanie to przy prowadziło nas również do sformułowań Jermiłowa i Upi ta.

A mimo wszystko to jeszcze do końca sprawy nie wyjaśnia — zauważa czytelnicy. Słusznie. Przecież sam Fadiejew na tymże XIII plenum mówił: „Pojęcie o realizmie socjalistycznym dla mas ludzi, którzy biorą udział w wieloletnich dyskusjach nad tym zagadnieniem, stało się o wiele bardziej jasnym. Wyraźne stwierdzenie tego, że aczkolwiek sprawę posunęto daleko naprzód, jednak nie wyjaśniono do końca. Dlatego i wspominałem na początku, że trudno o tym pisać. W każdym bądź razie nasi rusyści i sławiści (zwłaszcza koleżanka R. B.) muszą uwzględnić ważną poprawkę Jermiłowa i Upita czytając podręcznik T. mofiejewa.

O POETYCE I WŁODZIMIERZU MAJAKOWSKIM

Czy realizm socjalistyczny ma oznaczać też i nową po-

etykę? Niezawodnie. Bo przecież i klasycyzm (neo — czy bez neo) i sentymentalizm i romantyzm i wreszcie realizm krytyczny — pomijając różne „izmy” ostatniego okresu — wnoszą do sztuki wraz ze swą historycznie konkretną ideologią również właściwą sobie formę.

Określenie Fadiejewa miało tę dobrą stronę, że ujmowało sprawę w taki sposób, iż ukazywało również, jaką by miała być poetyka realizmu socjalistycznego — syntezą chyba po etyki romantyzmu i realizmu. Z drugiej strony postulat Upi ta i Jermiłowa zbijające schemat Fadiejewa nie wnoszą konkretnych wskazówek odnośnie poetyki. Wypływa z nich jednak, że poetyka nowa go prądu musi być podobnie swoista i odmienna od poprzednich jak sam prąd. Obecnie znajduje się ona jeszcze w stadium kształtowania się. Do jej uformowania w dziedzinie prozy przyczynili się tacy mistrzowie jak Gorki i Aleksy Tołstoj przyczynili i przyczyniają się Szolochow, Fadiejew, Erenburg. W dziedzinie wiersza zastosował już nową poetykę Włodzimierz Majakowski, lecz ona na tyle ziała się z indywidualnością poety, iż wielu utrzymuje, że jest niepotrzebna. Istotnie każda indywidualność jest niepotrzebna. Ale gdyby i powtarzano Majakowskiego, byłoby to niewolnicze naśladowanie.

Chodzi o co innego. To nowe co wniósł Majakowski do sztuki wierszowanej przenika do literatury nie w postaci so bowtów poety, jego imitacji, ale dziedziczy się przez innych tak jak dzieci dziedziczą cechy swych rodziców i dziadków, co w najmniejszym stopniu nie ogranicza ich osobowości. Sam Włodz. Majakowski chciał, aby w jego kraju było „więcej poetów — dobrych i różnych”. W tym może i tkwi rozwiązanie kwestii nowej poetyki. Jeden cel, jedno zadanie a tyle osobowości autorów, ich profile poetyckie — niech ich będzie jak najwięcej. A spośród nich poprzecz najwybitniejszych, najzdolniejszych mistrzów pióra obok no wej treści będzie się wyłaniała i doskonaliła nowa forma, nowa poetyka dziedziczącą w niej — rzecz jasna — wszystkie cenniejsze zdobycze epok poprzedzających.

BOJOWNICY POKOJU

JAN DEBEK

Tomasz Kępa, brigadier oborowy majątku PGR Słupiec, został przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Robotników Rolnych zaproszony na uroczystości pierwszomajowe do Warszawy. Do stolicy wyjechał już w dniu 24 kwietnia i bawił tam do dnia 2 maja br. Każdy dzień przynosił mu radosne niespodzianki. Przyjmowany był nadzwyczaj gościnnie przez władze swego związku, przez samego Ministra Rolnictwa, który z szacunkiem uściślał twardą dłoń przodownika pracy i na jego piersiach zawiesił order „Sztandar Pracy”.

Mieszkając w apartamentach Hotelu Bristol, w którym kwaterują również dyplomaci obcych państw, Tomasz Kępa codziennie podziwiał trasę W—Z, dzieło polskiego robotnika i inżyniera.

Codzienny spacer po trasie sprawiał mu największą przyjemność, jemu, który przecież nigdy w życiu nie spacerował. W ciepłe wieczory ostatnich dni kwietnia stawał Kępa na moście Śląsko — Dąbrowskim, mając pod sobą szeroką Wisłę, a nad głową rozgwieżdżone niebo wiosenne. Z obu brzo gów Wisły były łuny światła i gwar życia.

— Powiedz, Tomek, o czymś ty tak myślał, jakże stał na warszawskim moście tak daleko ode mnie — dopytywała się żona, uśmiechając się tajemniczo.

O wielu rzeczach. Bo było o czym myśleć.

Buduje się Warszawa, coraz jest piękniejsza, coraz ludniejsza. Mówił mi jeden taki co był w niej dwa lata temu, że się zmieniła na lepsze nie do poznania. Tam ludzie pracują, chcą pracować i umieją pracować.

— I w tym wielkim mieście umiesz uszanować prostego człowieka — opowiadał Tomasz robotnikom PGR Słupiec. — Pokazali mi wszystko, co piękne w Warszawie. Na wystawie obrazów byłam. Z całej Polski najlepsi artyści pokazywali swoje obrazy. A te były najlepsze, gdzie pokazano ludzi przy pracy.

Patrzysz na taki obraz, widzisz człowieka z znoju, i rozumiesz lepiej niż zwykle, że z takiej pracy rośnie nowa Polska. Patrzysz na obraz i myślisz sobie — dobrze że ja nie ostatni i też coś dla wspólnej sprawy zrobić mogę...

Gdy opowiadał wrażenia z manifestacji pierwszomajowej w Warszawie, widać było, że po raz drugi przeżywa swój osobisty i całej klasy robotniczej triumf.

— Szedłem w pierwszej czwórce w pochodzie. Widziałem, jak praca jest w Polsce uszanowana, myślę sobie, bo mi było przyjemnie, że nas, odznaczonych „Sztandarem Pracy”, stawiają na czele pochodu. Szliśmy i wołaliśmy — po-kój, Bie-rut, Sta-lin. Będzie pokój, bo tego chcą wszyscy uczciwi ludzie na świecie, którzy pracują.

W taki sposób opowiadał swe wrażenia Tomasz Kępa, brigadier oborowy, przodownik pracy, który za swoje piękne osiągnięcia — 4.100 ltr. rocznie od krowy w swojej oborze, odznaczony został orderem „Sztandar Pracy”.

Anna Wecko, brigadierka chlewni, już liczy 50 i parę lat i jest najpopularniejszą robotnicą nie tylko w majątku Kapitanowo, ale również w całym zespole Słupiec.

Anna Wecko, przodownica pracy, zobowiązała się wycho wać 20 sztuk prosiąt rocznie od każdej maciory, czyli plan chowu wykonać w 200 proc. W pierwszym kwartale br. mi mo nadzwyczajnych trudności wykonała plan swojej chlewni w 180 proc.

Z Ministerstwa, z zarządu centralnego PGR-ów — przesłano jej dyplom i odznakę. „Dyplom niniejszy wydaje się obywatelce Wecko Annie, chlewniczyńni majątku/Kapitanowo, w dowód uznania za jej wydatną pracę”.

Praca jest w Polsce ceniona i cenią się przodownicy pracy. Tomasz Kępa defilował w pierwszej czwórce pochodu pierwszomajowego w Warszawie, a Anna Wecko na trybunie w ścinawce, powiatu kłodzkiego, odbierała defiladę. Cały zespół defilował przed Anną Wecko, na której piersiach w majowym słońcu błyszczała za szczytne odznaczenie przodownika pracy. Z głębi uradowanej piersi Anna Wecko wznosi okrzyki:

— Niech żyje Pokój! Niech żyje Polska Ludowa! Niech żyje Towarzysz Bierut! Niech żyje Towarzysz Stalin!

„O losach narodów i państw decydują teraz nie tylko wodzowie, ale przede wszystkim i głównie miliony mas pracujących. Robotnicy i chłopci, którzy bez szumu i hałasu budują fabryki i zakłady przemysłowe, kopalnie i koleje, kolchozy i sochozy, którzy stwarzają wszystkie dobra materialne, którzy karmią i odzieżają wszystkich — oto są prawdziwi bohaterzy i twórcy nowego życia”.

Słowa te wypowiedział przed 17-ty laty Wielki Stalin, a

znajdują one swe potwierdzenie dziś, w codziennej rzeczywistości Polski Demokratycznej, która wkroczyła w pierwszy rok planu sześcioletniego, planu budownictwa fundamentów socjalizmu.

Dzięki Tomaszowi Kępie i Annie Wecko i tysiącom im podobnych przodowników pracy, twórców nowego życia, bojowników pokoju, wykonany zostanie Plan Sześcioletni przed terminem, a plany zbrodniarzy wojennych unicestwione.

ŚWIATŁA NAD

(Fragment powieści z niedawnej przeszłości)

Gdy znajoma jednego z osiedli się u podnóża trzech artystów, którzy Karkonoszy, przyjechała pewnego razu i, nie znając jego do kładnego adresu, starała się do wiedzieć na miejscu o adres, w żaden sposób nie mogła go uzyskać.

Oburzyła się. — Jakto, macie tutaj tylko trzech artystów i nie o nich nie wiecie?

— Tak jest, jakoś nic o nich nie wiemy — przyznał urzędnik otwarcie. — Nie znamy takich.

Prawie równocześnie z Orłowskim osiedlił się w Legendowie drugi literat, fraszkopisarz Raptowicz. Natrąciwszy na domek, który go zachwycił, powiedział żonie: — Jedź tam, dom gotowy, tylko zamieszkać. Trzeba go trochę uporządkować, ale to już robi się po przyjeździe. A dla dziecka będzie raj.

Wysłał zatem żonę z małym dzieckiem i służącą, aby wobec nastania wiosny nie siedzieli niepotrzebnie w mieście.

Żona przyjechawszy na miejsce, przekonała się przede wszystkim, że nie ma w tym domu na czym spać. Wystarawszy się na gwałt o materac, ułożyła się na ziemi i tak spędziła pierwsze noce. Gdy za-

czą padać deszcz, przekonała się w dodatku, że leje się z dachu do mieszkania.

— Rzeczywiście, dom gotowy, tylko zamieszkać.

Nie był lekki pierwszy okres, zanim dom został doprowadzony do stanu mieszkalnego i urządzony. Nadjechał Jakub z córeczką i pomógł w zadomowieniu się, kopiąc nawet w ogrodzie, co dawało mu sposobność do rozmysłań nad wierszami.

Wkrótce dom nabrał cech miłego dworku, obok którego w rozpadlinie szmeru przyjemnie górski potok. Jedynie na rozległej łące przed domem, gdy zjechały się dzieci na kolonie letnie, wiodły się długie koro wody bawiące się dzieciarni, napieniając powietrze rozradowanymi wrzaskami. Ale Kubuś lubił dzieci.

Raptowicz nie usiedział długo spokojnie. Jednego dnia zauważył, że milicjanci, którzy mieli w pobliżu dom wypoczynkowy, wykopują w lasu, nad strugą, paprocie i przenoszą je do swojego ogrodu. Zdenerwował go to.

— Cy wyście tutaj zasadzili te paprocie, obywatelu? Jeżeli nie, to zostawcie je tutaj, gdzie były. Nie ruszajcie ich. Niech sobie rosną.

Milicjanci tłumaczyli mu, że paproci tutaj dosyć, nie robi to uszczerbku, a w ogrodzie także będzie ładnie.

— Zostawcie je tu, gdzie wyrosły. Czy jest ochrona przyrody, czy jej nie ma? To właśnie wy powinniście pilnować, aby nikt nie niszczył przyrody, która jest najpiękniejsza, gdy się jak najmniej ją poprawia i wcale nie potrzebuje naszego upiększania. Jeżeli chcecie mieć paprocie w ogrodzie, to sami je sobie zasiejcie i wyhodujcie.

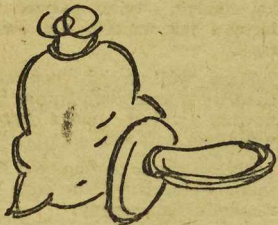
Milicjanci uznali jego rację i odeszli bez paproci. Kubuś wrócił zadowolony do domu.

Następnie Raptowicz chciał sprowadzić pisarzy i artystów, co przyniosło mu nawet pewne kłopoty. Niektórzy po przybyciu przekonawszy się o ciężkich warunkach zaklimatyzowania, zniechęceni wyjechali z powrotem. Raptowicza doprowadzało to do pasji.

Zresztą lubił się irytować. Natomiast udało mu się sprowadzić znanego artystę malarza, Romana Znicza. Artysta przyczynił wiele kłopotu miejscowym władzom, ponieważ sprowadził się z własnymi meblami.

Był to wypadek tak wyjątkowy na Ziemiach Odzyskanych, że wprowiło w ogromne zdumienie, zakłopotanie i niemal w niedowierzanie. Nie wiedziano co z tym fanatem zrobić. Znicz zrzekł się mebli, które zastał w

Zrobiłem doskonały interes — rzekł do swej żony chatej żony sympatyczny jaskiniowiec — wymieniłem kamienno młot na pełną skórę soli...
— Wspaniale! Nareszcie będziemy jedli mięso solone, jak kulturalni ludzie.
Takie rozmówki toczyli zapewne między sobą obywatele z epoki kamienia łupanego i takich dokonywali interesów. Za mieniali młoty i siekiery na sól, skóry na kamienne groty do strzał, naszyjniki z kłów zwierzęcych i kolorowych kamieni na łuki i dzidy.



Były to błogosławione czasy, gdy biedny mąż nie potrzebował tłumaczyć spragnionej nowym zakupom żonie, co to jest „dewaluacja” i „inflacja”, „dewizy”, „parytet złota” czy „pokrycie dolarowe”. Handel był wówczas niezmiernie prosty, bo wymieniano się przedmiotami, ocenając ich wartość według tego, ile pracy trzeba było zużyć na ich wykonanie, lub zdobycie. Posługiwano się więc prostą, najprostszą formą wartości przedmiotów, przez znaczących na wymianę, czyli towarów.

Błogie te czasy minęły wraz ze zmianą form cywilizacyjnych. Przyszły czasy nowe, lepsze, ale bardziej skomplikowane.

— Ile krów dałeś za ten brązowy miecz? — groźnie spytała Parysa piękna Helena, oczywiście jeszcze przed wybuchem wojny trojańskiej. — Wydajesz całe bydło na rozmaite rzeczy dla siebie, a o mnie nie pomyślisz, choć dla ciebie porzuciłam ojczyznę i mężnego Menelausa, który nie był takim kutwą, jak ty. Wczoraj kreteński kupcy oferowali mi szaty podwójnie barwione purpurą tylko za osiem jałowic, a ty, podły, pożądałeś tego wydatku!

— Ależ kochanie — słabo broń się Parys — ten miecz to wyjątkowa okazja... Dalem za niego tylko cztery krowy...

Tak prawdopodobnie rozmawiali i w ten sposób handlowali bohaterowie epopei Homera. Nie wymieniano już w tych czasach przedmiotów na przedmiot. Stało się to niepraktyczne. Jeśli bowiem posiadacz miecza chciał go wymienić na sól, zaś posiadacz soli nie chciał miecza, lecz tkaninę, a posiadacz tkaniny pragnął brązowego naramiennika — to nie mogliby dojść do porozumienia. Sytuację ułatwiało przeliczenie każdego przedmiotu na jakiś jeden towar, będący w powszechnym użyciu,

za którym można było nabyć każdy inny. Takim towarem stało się bydło, — które było podstawą gospodarki w tej epoce. Posiadacz miecza wymieniał go teraz na krowy i za te krowy nabywał sól. Posiadacz soli kupował za krowy tkaninę, a posiadacz tkaniny — brązowy naramiennik.

Podstawa przeliczenia pozostawała ta sama, choć ludzie nie zawsze zdawali sobie z tego sprawę. Po sprawdzeniu okazało by się, że wyhodowanie czterech krow wymaga mniej więcej tyle pracy, co całkowite wykonanie miecza, czy wydobyć określoną ilość soli. Mamy tu do czynienia już nie z prostą, lecz z rozwiniętą formą wartości.



Czasy Homera, w których tak handlowano, są dość bliskie naszej historii. Ich ślady odnajdujemy nawet w słownictwie. Tak np. łacińskie słowo „pecunia” — pieniądze, oznaczało dawniej po prostu bydło, które spełniało rolę pieniądza. A u nas? Czy również krowy były monetą obiegową?

Słowianie urządzili się inaczej. Nie tylko dlatego, że krowę trudno rozmiąć na „drobne”, lecz dlatego, że w gospodarce rolniczo-łowieckiej, jaką uprawiali, bydło odgrywało mniejszą rolę. Dla naszych słowiańskich przodków monetą obiegową było płótno. Ślady tego faktu spotykamy w naszym codziennym języku, nawet dziś, gdy kelnier mówi „proszę płacić” — nie oznacza to, że biedny klient ma wyciągnąć za pazuchy kilka płatów płótna i nimi „zapłacić” rachunek za befszytki z kartofelkami i cebulką.



Historia toczy się dalej. Wszyscy, którzy czytali słynną powieść Prusa, „Faraon”, pa-

Koniec rzeźnięj portmonetki

miętą, jakie kłopoty miał młody następca tronu z pożyceciem kilkunastu talentów złota, bez których nie mógł żyć na „szerokiej stopie”. Pamiętają również, że w gospodzie przebiegłego Fenicianina w Memphis kelnery siłą ściągali od pijaków zapłatę, zdzierając im z palców miedziane obrączki. Złoto, srebro, miedź — metale szlachetne, liczone na wagę (bo ta lent był ówczesną jednostką wagi) stanowiły towar, za który można było kupić wszelkie inne towary — wino, tkaniny, meble, pola, zboże, a także łaski panujących i błogosławieństwa potężnych kapłanów.

W miarę rozwoju form gospodarki i wymiany, krowy okazywały się coraz bardziej niepraktyczne. Wyobraźmy sobie, jak czuje się kupiec, którego portmonetką, względnie bankiem jest... zielona łąka, pełna rżących krow, wołów i byków.

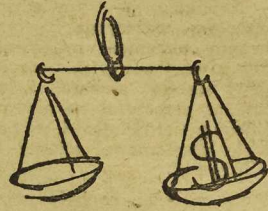
Przechowywanie i przenoszenie tego rodzaju „gotówki” nasywało niemałą trudność. Dlatego też krowę wyparł powoli szlachetny metal, który dawał się łatwo magazynować, przenosić i nie ulegał zepsuciu. Równoważnikiem wartości stały się sztabki srebra, miedzi, złota, czy brązu — towarów bardzo wygodnych w użyciu i posiadających wysoką wartość. Rozmienie „na drobne” nie przedstawiało tu wielkich trudności. Sztabkę metalu po prostu rozrąbano na kilka części.



Rosyjskie słowo „rubel” — oznaczające jednostkę pieniężną, pochodzi od czasownika „rubać”, czyli rąbać, gdyż pierwotnie rubel był kawałkiem metalu, odrąbanym od sztabki.

Liczenie metalu na wagę równie pozostawiło ślady w słownictwie: konserwatywni Anglicy dotychczas płacą funtami, które — zwłaszcza po ostatniej dewaluacji — już niewiele mają

wspólnego z rzeczywistym funtem srebra, czy złota.



W miarę rozwoju form wymiany, rabanie sztab metalu okazało się niepraktyczne. Nie posiadano wtedy znormalizowanych wag i nieuczciwi kupcy mieli szerokie pole do nadużyć. Aby temu zapobiec, kawałek metalu o określonej wadze stemplowano pieczęcią zrazu ogólnie znanego kupca, a później panującego. W ten sposób narodziła się moneta — kawałek metalu, którego waga była stwierdzona przez ówczesne „czynniki kompetentne”.

Początkowo bito monety z różnych metali. Później na placu zostały tylko dwa: srebro i złoto. Wreszcie, pod koniec XIX wieku, a więc prawie w naszych czasach, ostatecznie zwyciężyło złoto.

Ilość złota w obiegu wzrastała wolniej, niż znajdująca się w obiegu suma wartości towarów. Pomysłowi bankierzy zastępowali więc brak środków obrotowych, wystawiając rewersy, skrypty dłużne, weksle, wprowadzając tu i ówdzie obrót bezgotówkowy.

Z tych zastępczych środków płatniczych narodził się — oczywiście po skomplikowanej ewolucji — pieniądz papierowy, nie posiadający pełnego pokrycia w złocie, lub niekiedy nawet nie posiadający go wcale. Pieniądz ten był i jest używany na ogół w obrocie wewnętrznym danego kraju. Złotem płacono jedynie w rozrachunkach międzynarodowych.

Daleko odbiegłszy od czasów, gdy wymieniano się skórką za skórkę, nie troszcząc się o brak dewiz, czy pokrycia w złocie, czy pokrycia w złocie.

Wydaje się, że tamte sposoby wymiany w niczym nie przypominały obecnych. Czy tak jest naprawdę?

Pieniądz i jego kwintesencja — złoto, wyjął się wielu ludziom nieledwie magiczną substancją, dzięki której można osiągnąć wszystko: dobrobyt, szczęście...

Gdyby jednak wielkiego potentata finansowego wraz z olbrzymim zapasem złota, umieścić na bezludnej wyspie — nie zdziwiłby on nic. Byłby tylko samotnym Robinsonem w wydaniu znacznie gorszym od autentycznego, bo z brzuskiem i bez Piętaszki, który by na niego pracował.

Gdyby zaś na tej samej wyspie osadzić rodzinę robotniczą, mającą za całe bogactwo kilka par zdrowych i chętnych do pracy rąk — po pewnym czasie ludzie ci dorobili by się narzędzi pracy i stworzyliby na swojej wyspie znośne, a może i wygodne warunki bytu. Złoto „jako takie” nie jest wartością „samą przez się” nie tworzy żadnej wartości. Tylko praca tworzy wartość i tylko praca jest rzeczywistym miernikiem tej wartości.

Wydobycie złota wymaga pracy ludzkiej — pracy długiej, mozolnej i skomplikowanej, z zastosowaniem nowoczesnych urządzeń. Wartość złota mierzy się właśnie ilością pracy, włożonej w jego wydobywanie. Jest ono takim samym towarem jak buty, chleb, drut miedziany, szkło, czy cement. Różni się od nich tylko tym, że posiada stosunkowo wyższą wartość, bo znacznie łatwiej i szybciej można wyprodukować worek cementu, czy parę butów, niż dekagram złota. Nie jest jednak towarem o wartości najwyższej. Znacznie droższe od niego są np. diamenty, platyna czy rad.

Nieliczne państwa imperialistyczne „wypompowały” większość zapasów złota z krajów eksploatowanych. Dlatego w ostatnich latach rozrachunków międzynarodowych dokonuje się nie w złocie, lecz w t. zw.

mocnych walutach — czyli w funtach szterlingach dla państw bloku szterlingowego, lub w dolarach dla państw bloku dolarowego.



Międzynarodowe giełdy żyją pod wrażeniem oświadczenia ZSRR mówiącego, że ZSRR w rozliczeniach międzynarodowych będzie płacił już nie dolarami, ale złotem.

O czym to świadczy? Przede wszystkim o tym, że „mocne” waluty w dzisiejszych warunkach gospodarczych przestały być rzeczywistymi mocnymi. Zarówno funt, jak dolar coraz bardziej tracą na wartości — co oczywiście naraża na straty państwa posługujące się nimi w rozrachunkach międzynarodowych.

Nie dziwnego więc, że odkrycie tego faktu wywołało awanturę na międzynarodowych giełdach. Świadczy to również, że ZSRR zdołał zgromadzić u siebie tak olbrzymie zapasy złota, że stać go na płacenie złotem międzynarodowych zobowiązań i to również boli potentatów z Wall Street.



Złoto jest bazą dla rubla na gruncie międzynarodowym. W użyciu wewnętrznym rubel, jako środek obiegu i równoważnik wartości, jako bardzo ważny element socjalistycznej gospodarki, nie potrzebuje opierać się na złocie. Jest on oparty o socjalistyczny, planowy system gospodarki, o stały wzrost produkcji i dochodu narodowego, o realny wzrost płac pracowników (to znaczy o obniżki cen), słowem — o wydajną, racjonalną pracę radzieckiego społeczeństwa.

Wśród nowych książek

DROGA NAUCZYCIELA LUDOWEGO

W ZBYT skromnej szacie zewnętrznej ukazała się niedawno ogromnie interesująca książeczka. Jest to autentyczna opowieść o rosyjskim nauczycielu ludowym, o etapach jego długiego życia i pracy nad wychowaniem kilku pokoleń.

Autor podkreśla na wstępie, że w nauczycielu Jerzym Borysowie nie należy dopatrywać się jakichś szczególnych cech i przymiotów, które by go wyróżniały spośród wielkiej rzeszy radzieckich pracowników oświatowych. Przeciwnie, Borysow — to postać typowa i zgoła codzienna. Gdy o tym właśnie pamiętamy, śledząc dzieje nauczyciela — łatwiej jest nam zdać sobie sprawę z ogromu i jakości ogólnych przeobrażeń, jakie zaszły w zawodzie nauczycielskim i pedagogice w ogóle — w warunkach socjalizmu.

Jerzy Borysow jest już dziś czołowym w podziemnym świecie, a woda swój zaczął wykonywać za wieloletniego przygotowania, na długo przed Rewolucją. W dalszych latach rozszerzał stopniowo zakres swojej wiedzy przez amatorskie nauczanie. Opisane przez autora wykształcenie nauczyciela w duchu połączonym, metody stosowane w szkołach Rosji carskiej, wywierający fatalny wpływ zarówno na charakterystykę uczniów jak i ich wychowanie.

Nauczyciel był więc zdany na samego siebie, jest pragnął rozszerzyć własne horyzonty myślowe i poznać prawa, rządzące światem. Władze zwierzchnie czyniły ze swej strony wszystko, aby utrzymać go w stanie ciastoty poglądów i bezideowości, aby spełniał on wyłącznie rolę tępego urzędnika.

Drobiazgowo, a zarazem barwnie i żywo przedstawia autor powstanie i życie Borysowa. Rzeczywisty, żyjący po dziś dzień bohater, przeżywał, będąc już w sile wieku, niezapomniane chwile, gdy po utracie leniu się władzy radzieckiej, świat uderzył go w ciemne zakamarki dawnej carskiej szkoły. Nastąpił gorący czas rewolucyjnej reorganizacji szkolnictwa.

Książka Panicza, napisana z dużym zacięciem i temperamentem, maluje również plastycznie obraz uciśnionego od strony jej przemian społecznego i bogatego obyczajowego. Obfituje również w liczne dygresje i scenki rodzajowe, co sprawia, że czytanie jej jest jak, z napiętą uwagą, od pierwszej do ostatniej strony.

Polski nauczyciel znajdzie w książce tej szereg cennych uwag praktycznych na temat stosunku wychowawcy do młodzieży, jak również z zakresu samej techniki nauczania.

(az)

M.S. Panicz: Pamiętnik Nauczyciela Ludowego. Przełożył St. Furmanik. „Nasza Księgarnia” 1949 r. str. 88.

7 RAZY DOOKOŁA ZIEMI w ciągu jednej sekundy

Zagadnienie zwiększenia zdolności poruszania się w przestrzeni od tysięcy lat nurtuje ludzkość.

Do XIX wieku, wieku epokowych wynalazków, które radykalnie zmieniły oblicze świata, człowiek poruszał się na lądzie z minimalną szybkością, zważywszy, że piechur może przebyć zaledwie około 6 km na godzinę. Nie rozwiązywał tego problemu również i koń, przez całe tysiąclecia używany do przenoszenia się z miejsca na miejsce, a przebywający 10 do 12 km na godzinę.

Odkrycie maszyn parowej i skonstruowanie samochodu przesunęło ogromnie granicę szybkości, która dziś dla pociągów dochodzi do 100 km na godzinę, a dla samochodu przekroczyła już liczbę 200 km.

Najnowsze samoloty odrzutowe — wynalazek ostatnich lat, przenoszą już człowieka z szybkością, dochodzącą do 1.000 km/godz.

Szybkości te, osiągnięte przez ludzi XX wieku, będące ich słuszną chlubą, wydają się jednak bardzo skromne w porównaniu z szybkościami, notowanymi przez uczonych fizyków.

Do mierzenia szybkości rozchodzenia się głosu używa się dziś prostego przyrządu, składającego się z rury szklanej, oraz pręta szklanego lub metalowego, umocowanego w rurze. Przez pocieranie pręta irtchą powstają w nim drgania podłużne. Wprawiają one w ruch powietrze w rurze, a to z kolei porusza drobny pył korkowy, który osiada na szkle w zgęszczonych grupkach. Przez pomiar odległości tych zgęszczeń prosiu i wstawienie jej do odpowiedniego wzoru, fizycy otrzymali dokładną szybkość rozchodzenia się głosu, która wynosi 340 m na sekundę.

Uczeni ubiegłych stuleci, dokonujący tych samych pomiarów, posługiwali się armatą. Oczywiście, metoda ta była o wiele bardziej kłopotliwa i w rezultacie nie dawała tak dokładnych obliczeń, jakie dziś uzyskuje się w najskromniejszych nawet laboratoriach.

Szybkość 340 m/sek posiada głos jedynie w powietrzu, gdyż w wodzie, lub żelazie rozchodzi się on znacznie szybciej...

Człowiek przez użycie prochu strzelniczego może nadać ciału, w tym wypadku pociskowi, prędkość blisko 3 razy większą od szybkości głosu, bo dochodzącą do około 1000 m/sek.

W świecie fizyki spotyka się szybkości, których dziś jeszcze człowiek nie potrafi nadać żadnemu ciału, mimo niestannych wysiłków, zmierzających do pobicia własnych rekordów w poruszaniu się w przestrzeni.

Np. cząsteczka wodoru pod ciśnieniem 1 atmosfery i w temperaturze 0 st. C porusza się z szybkością 1843 m/sek., a w tem. 200 st. C szybkości jej zwiększa się do 2424 m/sek., gdyż szybkość poruszania się cząsteczek materii rośnie wraz z podnoszeniem się temperatury.

Strumień elektronów w rurce, napełnionej gazem rozrzedzonym osiąga szybkość 30.000.000 m/sek

Największą szybkość posiada jednak światło. Wynosi ona 300.000.000 m/sek czyli 300.000 km na sekundę. Promień światła w ciągu jednej sekundy może więc okrążyć kulę ziemską przeszło 7 razy!

GRANICA

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

małej willi, jaką objął w głębi lasu.

Musieli przedsięwziąć wiele starań i zabiegów, aby pozbyć się zbędnych sprzętów, więcej nawet starań niż o uzyskanie całego domu.

— Stąd tylko każdy chciał wywozić meble i my jedynie to możemy udarmić, ale nikt jeszcze mebli tutaj nie przywoził, ani nie rzezał się tego co zastał w domu — gniewano się w urzędzie. — Nie mamy na to odpowiednich formularzy, ani rubryk, ani instrukcji, ani kartoteki, gdzieby taką sprawę można było włączyć. Może by państwo jednak... co? te meble zatrzymali? Przecież przydadzą się.

— Dziękujemy, ale my mamy swoje — żona artysty nie chciała ustąpić.

— I po co w ogóle sprowadza li państwo własne meble?

W czasie tych pertraktacji artysta miał zabawną przygodę. Przyszedł woźny i zapytał w związku ze sprawą zrzeczenia się mebli:

— Gdzie jest ten Niemiec?

— Jaki Niemiec? — zdziwiła się żona.

— Ten co się tu sprowadził i chce się rzec mebli.

— Tu nie ma żadnego Niemca. To jest Polak, polski malarz. Woźnemu jednak sprawa zrezygnowania z mebli wydała się podejrzana. — A dlaczego on ma takie dziwne nazwisko?

Żona zapewniła, że to już tak po ojcu i pokazała artykuły w gazetach, donoszące o przeniesieniu się znanego artysty na zachodnie rubieże. Woźny poklepał głową krytycznie, jakby chciał zaznaczyć: różne rzeczy wypisują w gazetach, ale uwie rzył w końcu i odszedł.

Trzeba przyznać, że był kłopot z artystami. Większy niż na wet z pierwszym lepszym szambrownikiem, bo z tymym to wiadomo czego się trzymać, a z takimi idealistami zawsze jest w życiu praktycznym nieporozumienie.

Jeżeli znowu jakiś przyjeździe, diabli wiedzą, co może nowego wymyślić?

Tak więc trzech artystów zamieszkało w Legendowie, urządzając sobie z trudem teren do pracy.

Dom Orłowskich zmienił się nie do poznania. Wyłoniło się po usunięciu zniszczeń gustowne wnętrze, wykończone artystycznie do najdrobniejszych szczegółów. Górski ogród łączył się z smukłym domem harmonijnie. Zabarwily się w ogrodzie kwiaty i wśród głazów rozwinęły się szarotki.

Ptaki śpiewały o cudownym odosobnieniu.

— Ale raczej ptaków tu mało, — stwierdziła Irena — nie tak jak w naszych wilgotnych, bujnych, jeziorzystych lasach na Wschodzie.

— Te które są, robią za to co

moga, aby umilić kręgi powietrza — odpowiedział Janusz żartobliwie.

Kawka, żółtodziób, zjawiała się stale i przyglądała się nowym mieszkalcóm.

Janusz rozmyślał: Zadamowiliśmy się tutaj i góry te zadamowimy legendami i dawne odkryje klechdy.

Wieczorem, kiedy niebieska królowa baśni wysypywała na niebo koszyk gwiazd, zachodziły tu lesne zwierzęta.

Pokój Janusza był na piętrze. Jasna mansarda ze ściętym sufitem. Wydawało się, że wisi w powietrzu, ponieważ wierzchołki drzew ukazywały się znacznie niżej. Jarzębina w jaskrawym kolorze wdzierała się pod oknem pośród gromady świerków. Ptak wyjadał kulki jarzębin. Śliczny, zielono-żółty ptak.

Dalej ukazywały się blade smugi gór. Chmura zawisła i naraz spłynęła gwałtownym deszczem. Po okrzętej drodze obok willi bułotała prędko struga. Góry, obfite zalesieniem, były pod deszczowymi mgłami. Tam leciały jego myśli.

— Mam wrażenie, że zbudowaliśmy ten dom na nowo — mówiła Irena, a Janusz dodał:

— Ciekaw jestem, co nam przyniesie?

Słońce znowu wybiłyś. Te cza, siedmiobarwna brama, zawiesiła się nad górami i nad rozłoką.

